

ŚWIATOWY BESTSELLER

ROBINNE LEE

NA SAMĄ
MYŚL
O TOBIE

FANTAZJUJĄ O NIM WSZYSTKIE KOBIETY.
ON PRAGNIE TYLKO CIEBIE.



ROBINNE LEE

NA SAMĄ
MYŚL
O TOBIE

tłumaczenie Agnieszka Walulik



OTWARTE

KRAKÓW 2021

Tytuł oryginału: *The Idea of You*

Text Copyright © 2017 by Robinne Lee.
Published by arrangement with St. Martin's Publishing Group.
All rights reserved

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2021

Copyright © for the translation by Agnieszka Walulik

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Anna Siwek

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Atelier 2

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: kobieta – © Lumina / Stocksy,
mężczyzna – © Masha Raymers / Moment / Getty Images

Fotografia autorki: Theo & Juliet

ISBN 978-83-8135-121-8



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2021.
Druk: Drukarnia Pozkał

*Dla Erica,
który kochał mnie najlepiej*

PODZIĘKOWANIA

Z głębi serca dziękuję wszystkim, którzy towarzyszyli mi w tej podróży.

Mojemu agentowi, Richardowi Pine'owi, który zakochał się w tej historii od momentu, gdy trafiła na jego biurko, i bardzo szczerze dzielił się ze mną swoją inteligencją i ekspertyzą. Jestem ogromną szczęściarą, że mam po swojej stronie kogoś try-skającego takim entuzjazmem! Dziękuję także jego asystentce, nieocenionej Elizie Rothstein, za jej wnikliwość, oraz wszystkim osobom w agencji InkWell Management.

Mojej niezwykle utalentowanej redaktorce Elizabeth Beier, która uwierzyła w magiczną historię Solène i Hayesa – to dzięki niej mogłam pokazać ich światu. Mojej korektorce Mary Beth Constant – jej czujne oko wyłapuje nawet najdrobniejsze błędy. Danielle Fiorelli – za projekt wspaniałej okładki. Nicole Williams – za to, że trzymała wszystko pod kontrolą. Brittani Hil-les, Marissie Sangiacomo, Jordan Hanley i reszcie wspaniałego zespołu wydawnictwa St. Martin's Press.

Stałej ekipie wstępnych czytelniczek: mojej siostrze Kelley, która zawsze jest pierwsza w kolejce i najbardziej mi kibicuje, a także Colette Sartor, Lisanne Sartor, Laurze Brennan, Aimee Liu, Glorii Loyi i niezwykle pomocnym, utalentowanym kobietom

z Yale Women L.A. Writing Group. Ponadto Monice Nordhaus za to, że uparła się, bym pojechała z nią na galę American Music Awards, oraz za otwieranie przede mną różnych drzwi; Hope Mineo, Colleen Cassidy Hart, M. Catherine OliverSmith i Dawn Cotton Fuge (mojej ekspertce do spraw brytyjskich) za czytanie, słuchanie i po prostu bycie przy mnie, kiedy musiałam się wypłakać. Wreszcie Mary Leigh Cherry – bez jej znajomości świata sztuki nie byłabym w stanie stworzyć uniwersum Solène.

Mojej sieci wsparcia: przyjaciółkom, z którymi mogłam konsultować pomysły i które zachęcały mnie do spisania tej historii – Louise Santacruz, Emily Murdock, Carrie Knoblock, Michelle Jenab, Julie Simon, Kate Seton, Mii Ammer i Meghan Wald – a także mojemu prywatnemu „klubowi szczęścia”, przede wszystkim Denise Malaussénie za poprawianie mojej francuszczyzny i Bestie Row za znoszenie moich wariactw. Szczególne podziękowania kieruję pod adresem Amandy Schuon za naszą rozmowę telefoniczną. Dziękuję też koleżankom po piórze: Jennifer Maisel i Dedi Feldman, a także mojej facebookowej rodzinie za odpowiedzi na wszelakie dziwne pytania, poczynwszy od tych o szkocką aż po te o hydroplany. Ci ludzie są lepsi niż Google.

Moim skarbowi – Alexandrowi i Arabelle, którzy w chwilach wolnych od ich zwariowanych grafików dali mi swobodę i czas na pisanie i ani razu nie stracili do mnie cierpliwości.

Mamie i tacie, którzy zawsze byli największymi fanami moich książek.

Wreszcie mojemu niezwykłemu mężowi Ericowi, który na mój żart: „Zastanawiam się, czy nie rzucić cię dla chłopaka z boysbandu”, odpowiedział: „Świetny pomysł na książkę” i w ten sposób ofiarował mi najlepszy prezent w życiu (dziękuję Ci, skarbie).

Na koniec dziękuję mojej ukochanej muzie. Może napisałabym tę książkę, nawet gdybym nigdy nie ujrzała jego twarzy. Ale wątpię, czy sprawiłoby mi to aż taką przyjemność.

Z wyrazami miłości

Robinne

LAS VEGAS

Właściwie to wszystko była wina Daniela.

Dwa dni przed moim planowanym wypadem do Ojai nagle pojawił się przed drzwiami w smokingu, holując za sobą naszą córkę Isabelle. Auto zostawił na chodzie.

– Muszę odwołać wyjazd do Vegas – powiedział, wciskając mi do ręki kopertę z brązowego papieru. – Nie dogadałem jeszcze tej umowy z Foxem i nie ma szans, żebyśmy zdążyli to domknąć.

Na mojej twarzy chyba odmalowało się niedowierzanie, bo dodał:

– Przepraszam. Wiem, że obiecałem dziewczynkom, ale nie dam rady. Ty je zabierz. Albo mogę po prostu wywalić te bilety. Wszystko mi jedno.

Na stoliku przy wejściu leżała nieotwarta jeszcze paczka z pędzlami z serii Maestro marki Da Vinci Kolinsky, a obok zestaw trzydziestu sześciu akwarel marki Holbein. Były to materiały na warsztaty artystyczne i kosztowały mnie fortunę. Razem z tym planowanym weekendem w Ojai stanowiły prezent ode mnie dla mnie. Czterdzieści osiem godzin malowania, spania i wina. A teraz mój były mąż stał w salonie wystrojony na jakąś galę i mówił, że nastąpiła zmiana planów.

– Czy ona już wie? – zapytałam. Isabelle, która natychmiast uciekła do swojego pokoju (na pewno po to, żeby siedzieć na telefonie), przegapiła bowiem całą tę wymianę zdań.

Daniel pokręcił głową.

– Nie zdążyłem jej powiedzieć. Pomyślałem, że najpierw sprawdzę, czy możesz mnie zastąpić i je zabrać.

– No jasne, tak było ci wygodniej.

– Nie zaczynaj, dobrze? – Odwrócił się do drzwi. – Jeśli nie dasz rady, niech Isabelle do mnie zadzwoni i odbijemy to sobie następnym razem, kiedy zespół przyjedzie z koncertem.

Jakie to było dla niego typowe: na wszystko potrafił przykleić plasterki. Wywijał się od zobowiązań, nie obciążając się przy tym najmniejszymi wyrzutami sumienia. Szkoda, że sama nie otrzymałam takiego genu.

Isabelle i jej dwie przyjaciółki od dawna odliczały dni do koncertu August Moon. Był to zespół złożony z pięciu przystojnych chłopaków z Wielkiej Brytanii. Nastolatki szalały na ich punkcie. Śpiewali przyjemne popowe numery. Daniel zdobył bilety na ich występ podczas cichej aukcji w szkole dziewczynek. Koncert, przelot samolotem do Vegas, pokoje w Mandalay Bay i wstęp na spotkanie z zespołem kosztowały go masę pieniędzy. Odwołanie wyjazdu w ostatniej chwili nie spotkałoby się ze zrozumieniem.

– Mam już własne plany – powiedziałam, wychodząc na podjazd za Danielem.

Obszedł swoje bmw i wyciągnął z bagażnika ciężką torbę. Sprzęt Isabelle do szermierki.

– Tak przypuszczałem. Sol, naprawdę mi przykro. – Zamilknął na chwilę, mierzając mnie wzrokiem: tenisówki, legginsy, pot po ośmiokilometrowej przebieżce. – Zmieniłaś fryzurę.

Przytaknęłam i skrępowanym gestem przesunęłam dłońmi po szyi. Przycięte włosy ledwo sięgały mi do ramion. To był mój akt buntu.

– Miałam ochotę na małą odmianę.

Daniel uśmiechnął się lekko.

– Ale i tak zawsze wyglądasz pięknie, prawda?

W tym momencie przyciemniana szyba od strony pasażera zjechała w dół, a z samochodu wychyliła się i pomachała do mnie istota o wyglądzie sylfidy. Eva. Moja następczyni.

Miała na sobie szmaragdową suknię, a długie włosy w kolorze miodu upięła w elegancki kok. W jej uszach lśniły diamenty. Jakby nie wystarczało, że była młodą, olśniewająco piękną wschodzącą gwiazdą firmy Daniela, o mieszanym chińsko-holenderskim pochodzeniu. Musiała na dodatek siedzieć w jego beemce serii 7 i wyglądać jak stuprocentowa księżniczka akurat w momencie, gdy ja ociekałam potem – to mnie naprawdę ubodło.

– No dobrze. Pojadę z nimi.

– Dzięki – powiedział Daniel, podając mi torbę. – Jesteś najlepsza.

– To samo mówią wszystkie chłopaki.

Zastygł na moment, marszcząc arystokratyczny nos. Spodobałam się jakiejś riposty, ale żadna nie nadeszła. Daniel po prostu uśmiechnął się obojętnie i nachylił się, żeby dać mi niezręcznego rozwodniczego buziaka w policzek. Poczułam od niego zapach wody kolońskiej – przez te wszystkie lata ze mną nigdy jej nie używał.

Patrzyłam, jak przechodzi na stronę kierowcy.

– Dokąd się wybieracie? Tacy wystrojeni...

– Na galę charytatywną – odparł, wsiadając do samochodu. – U Katzenberga. – Z tymi słowami odjechał. A ja zostałam z torbą w ręce.

★

Nie przepadam za Vegas: jest głośnie, brudne, otyłe. Ciągnie się przez pustynię niczym jaskrawy ślad po oponie, zlewnia wszystkich grzeszków Ameryki. Byłam tam tylko raz, wiele lat temu, na jakimś wieczorze panieńskim, o którym do tej pory usiłowałam zapomnieć: woń klubów ze striptizem, tanich perfum

i wymiocin. Takie rzeczy zapadają w pamięć. Ale w tym wypadku nie chodziło o mnie. Tym razem jechałam wyłącznie jako towarzystwo podczas cudzej przygody. Isabelle i jej przyjaciółki nie pozostawiły co do tego żadnych wątpliwości.

Przez całe popołudnie biegały w kółko po ośrodku, usiłując odnaleźć swoich idoli, a ja grzecznie podążałam za nimi. Zdążyłam się już do tego przyzwyczaić: moja córka miała w sobie pasję życia, wszystkiego musiała spróbować. Zaczynała już podejmować samodzielne decyzje i szukać własnej drogi. Ona i ten jej amerykański duch przedsiębiorczości. Gimnastyka na trapezie, łyżwiarstwo figurowe, teatr muzyczny, szermierka... Isabelle była nieustraszona, a ja kochałam w niej tę cechę, wręcz zazdrościłam jej tego. Cieszyłam się, że potrafi ryzykować, że nie czeka na cudze pozwolenie i podąża za głosem serca. Nie przeszkadzało jej życie poza utartymi szlakami.

Liczyłam, że uda mi się namówić dziewczynki na wizytę w Centrum Sztuki Współczesnej. Miło byłoby liźnąć podczas tego wyjazdu odrobinę prawdziwej kultury. Napełnić ich podatne umysły czymś godnym zainteresowania. Sama jako dziecko spędziłam niezliczone godziny, drepcząc za matką po galeriach bostońskiego Muzeum Sztuki. Podążałam za stukotem jej obcasów od Viviera i zapachem jej robionych na zamówienie perfum, które kupowała co lato we francuskim Grasse. Wydała mi się wtedy taka pełna wiedzy, taka kobieca. Znałam to muzeum równie dobrze jak swoją szkolną klasę. Jednak moja córka i jej świta aż się wzdrygnęły na mój pomysł.

– Mamo, wiesz, że przy każdej innej okazji bym się zgodziła. Ale ten wyjazd ma być inny. Dobrze? – powiedziała Isabelle błagalnie.

Przybyły do Vegas w jednym i tylko jednym celu, i nic nie mogło odwrócić ich uwagi od wyznaczonej misji.

– Dziś wieczorem rozpoczyna się nasze życie – oświadczyła podczas lotu do Vegas Georgia, ta o jedwabistej brązowej skórze. Rudowłosa Rose jej przytaknęła i wszystkie trzy natychmiast

obrały te słowa za swoje hasło. Żadne oczekiwania nie były zbyt wysokie. Przed nimi rozpościerało się całe życie. Miały po dwa-naście lat.

*

Spotkanie z zespołem zaczynało się o szóstej wieczorem. Nie wiem, czego właściwie się spodziewałam – czegoś w miarę elegancckiego, cywilizowanego, ale nie. Upchnięto nas w jakiejś oświetlonej jarzeniówkami poczekalni głęboko w trzewiach hali koncertowej. Było tam ponad pięćdziesiąt wiernych wyznawczyń na rozmaitych etapach dojrzewania, dziewczynki z aparatami na zęby, dziewczynki na wózkach inwalidzkich, dziewczynki z rozszalałymi hormonami. Wszystkie o niewinnych oczach, którymi chłonęły świat, oszalałe z miłości do swoich idoli. Tak rozemocjonowane, jakby miały buchnąć ogniem. Było w tym coś jednocześnie pięknego i desperackiego. Z bólem uświadomiłam sobie, że Isabelle również należy do tego plemienia. Do barwnej zbieraniny nastolatek marzących o tym, że pięciu chłopaków z Wielkiej Brytanii – chłopaków, których nie znały, nigdy nie poznają i którzy nigdy nie odwzajemnią ich uwielbienia – da im szczęście.

W tłumku widać było kilkoro rodziców. Doborowa reprezentacja środkowych Stanów Zjednoczonych: džinsy, T-shirty, wygodne buty. Twarze zaróżowione od brutalnego starcia z palącym słońcem Las Vegas. Uświadomiłam sobie, że mnie również można by wziąć za jedną z nich. Media ukuły już określenie na fanki zespołu: nazywały je „Augies”. Mnie jednak czekała gorsza etykietka: „Augie Mama”.

Dziewczynki zaczynały się już wiercić z niecierpliwości, kiedy nagle boczne drzwi się otworzyły i do sali wszedł wielki łysy typ z kolekcją laminowanych przepustek na szyi.

– Gotowe na spotkanie z zespołem?!

Całe pomieszczenie rozbrzmiało piskami i nagle przypomniałam sobie, że nie wzięłam z hotelowego pokoju zatyczek

do uszu. Lulit – moja partnerka w interesach i powierniczka wszystkich spraw, które warto komuś powierzyć – wspomniała o tym wczoraj w galerii. Powiedziała, że oszalałam, jeśli zamierzam wyjść na stadion pełen Augies bez zatyczek. Też była raz na koncercie August Moon, poszła z siostrzenicą.

– Kolesie są uroczy, ale ich fanki... Dobry Boże, co to był za wrzask.

Stojąca obok mnie Isabelle zaczęła drzeć.

– Cieszysz się? – Objęłam ją za ramiona.

– Po prostu mi zimno – odparła obojętnie. Zawsze taka niedostępna.

– Chłopaki przyjdą już za chwilę – ciągnął tamten olbrzym. – Spotkanie potrwa około dwudziestu minut. Ustawcie się w kolejkę tutaj, po lewej stronie. Wszystkie będziecie miały okazję się przywitać i zrobić sobie zdjęcie z zespołem. Żadnych selfies. Zdjęcia będzie robił nasz fotograf i potem będzie można je ściągnąć z netu. Później prześlemy wam linka. Wszystko jasne?

Brzmiało to tak bezosobowo. Na pewno Daniel mógł wyrzucić te pieniądze na coś lepszego. Kiedy zaczęli ustawiać nas w kolejkę, przyszło mi do głowy, że za bardzo się odstaawiłam. W sandałach od Alaï wyglądałam zbyt elegancko i z klasą – po raz kolejny odstaawałam od reszty. Mówi się trudno. Babcia ze strony ojca powtarzała mi przy licznych okazjach, że taka już się urodziłam.

– W głębi serca jesteś Francuzką. *Il ne faut pas l'oublier*¹.

Faktycznie, nie dało się o tym zapomnieć: o mojej francuskości. Tak więc burzyłam się na myśl o tym, że mogę zostać wzięta za jedną z pozostałych kobiet, choć jednocześnie doskonale zdawałam sobie sprawę z ich cierpliwości, ich poświęcenia dla córek. Czego się nie robi dla swoich dzieci? I jaką byłabym matką, gdybym pożałowała Isabelle tego przeżycia?

Wreszcie się pojawili. Cała piątka. Po salce przeszła fala podniecenia i słyszalnych westchnień, a Rose wręcz pisnęła niczym

¹ Nie można o tym zapominać (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

szczeniak, któremu przydepnięto ogonek. Jednak Georgia natychmiast rzuciła jej wymowne spojrzenie mówiące: „Opanuj się, dziewczyno” – więc się opanowała.

Jacy oni młodzi – to była pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy. Wszyscy mieli świeżą, gładką skórę, jakby wychowali się na farmie organicznej. Byli też wyżsi, niż się spodziewałam, bardzo szczupli. Jak reprezentacja pływacka na Brownie, gdzie studiowałam. Tyle że ładniejsi.

– Który to który? – zapytałam, lecz Isabelle od razu mnie uciśzyła. No tak.

Zaczęłyśmy się stopniowo przesuwac w stronę transparentu z logo August Moon – składało się z żółtych liter na szarym tle – pod którym stali chłopcy z zespołu. Wydawali się uradowani, wręcz podekscytowani spotkaniem z wielbicielkami. Miłość fanek była odwzajemniona. Zachowywali się z lekką przesadą, żeby dobrze wyglądało to na zdjęciach i żeby skrępowane nastolatki poczuły się swobodniej. Flirty ze starszymi dziewczynami – non-szalanckie, ale bez przekraczania żadnych granic – umiejętność zagadywania młodszych i czarujące podejście do ich matek. To była sztuka. A oni opanowali ją do perfekcji.

Kiedy przed nami pozostała już tylko jedna osoba, Isabelle nachyliła się w moją stronę.

– Od lewej do prawej: Rory, Oliver, Simon, Liam i Hayes.

– Jasne.

– Tylko nie narób mi wstydu, okej?

Obiecałam, że nie narobię.

Wreszcie nadeszła nasza kolej.

– Cześć, kochane! – krzyknął Simon, wyciągając ramiona. Miały imponujący zasięg. Isabelle wspominała w samolocie, że w czasach szkolnych należał do drużyny wiosłarskiej. – Chodźcie, chodźcie, nie ma się czego wstydzić!

Dziewcząt nie trzeba było prosić dwa razy. Georgia rzuciła się w ramiona Simona, a Rose podeszła do Liama, najmłodszego z zespołu, tego z zielonymi oczami i piegami. Tylko Isabelle się

zawahała, wodząc oczami od jednego chłopaka do drugiego. En-tliczek, pętliczek... Była jak maluch w sklepie z cukierkami.

– Trudna decyzja, co? – zapytał ten wysoki na końcu. – Chodź, możesz stanąć obok mnie. Obiecuję, że nie ugryzę. Co innego Rory... A Ollie jest kompletnie nieprzewidywalny, więc... – Uśmiechnął się olśniewająco. Szerokie usta, pełne wargi, idealne zęby, dołeczki w policzkach. Hayes.

Isabelle odpowiedziała uśmiechem i ruszyła w jego stronę.

– Ha! Wygrałem! Wygrałem... Jak ty masz na imię?

– Isabelle.

– Wygrałem Isabelle! – Opiekuńczym gestem objął jej wąskie ramiona, po czym spojrzał na mnie. – A to pewnie twoja starsza siostra?

Isabelle roześmiała się, zakrywając dłonią usta. Miała delikatne rysy, jak ptaszek.

– To moja mama.

– Twoja mama? – Hayes uniósł brwi i spojrzał mi w oczy. – Coś takiego. No dobrze, m a m o I s a b e l l e. Przyłączysz się do zdjęcia?

– Nie, nie trzeba. Ale dzięki.

– Na pewno? Obiecuję, że nie pożałujesz.

Roześmiałam się.

– Już to widzę.

– Chętnie ci to u d o w o d n i ę. – Uśmiechnął się. Śmiało. – No chodź. Będziesz miała pamiątkę po naszej szalonej nocy w Vegas.

– No, skoro tak kusisz...

★

Na moim pierwszym zdjęciu z Hayesem stoimy w dziewiątkę w piwnicznym pomieszczeniu Mandalay Bay. Hayes jednym ramieniem otacza mnie, a drugim Isabelle. Zamówiłam dla nas dwie odbitki. Isabelle zniszczyła potem swoją.

★

– Więc przyleciałyście aż do Vegas tylko dla nas? Jestem pod wrażeniem. – Chłopaki rozmawiały z moimi podopiecznymi, wykorzystując każdą sekundę naszej przepisowej półtorej minuty. Liam wypytywał Rose, jak nam się podoba Miasto Grzechu, a Simon dotykał włosów Georgii.

– Śliczne masz loki.

– Naprawdę ci się podobają? – odpowiedziała, nie pozostając mu dłużna. Miała starszą siostrę i sporo się od niej nauczyła.

– Przyleciałyście tylko na jeden dzień? Niezły luksus. – Hayes rozmawiał z Isabelle, opierając się o jej ramię niczym starszy brat. Jakby znał ją przez całe życie. Wiedziałam, że moja córka umiera w duchu ze szczęścia.

– Na dwa dni – poprawiła go.

– To był prezent od jej ojca – wtrąciłam.

– „Jej ojca”? – zapytał Hayes, zerkając na mnie. I znowu ta uniesiona brew. – A nie „twojego męża”?

– K i e d y ś był moim mężem. A teraz jest tylko jej ojcem.

– W takim razie... – zaczął i urwał. – Pomyślnie się składa, prawda?

Roześmiałam się.

– Co to niby ma znaczyć?

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

W tym momencie miał w sobie coś takiego... Ten luz. Ten akcent. Ten zawadiacki uśmiech. Rozbroił mnie.

– Następna osoba!

Nasz czas upłynął.

★

Przed końcem spotkania znowu zaszczylił nas swoją uwagą. Gdy wszyscy zrobili już sobie obowiązkowe zdjęcia i zespół zaczął rozdawać autografy, przedarliśmy się przez morze poruszających

się ciał. Jak ryby płynące pod prąd strumienia. Dookoła nas rozbrzmiewały zbiorowe piski, westchnienia i pytania: „Hayes, mogę dotknąć twoich włosów?”. Lecz moja grupka nad sobą panowała. Może była to kwestia typowego dla Los Angeles zblazowania: dziewczynki przywykły, że w miejscowym parku wpadały na Beckhamów z synami, a pod szkołą na Spidermana, który odwoził dzieci na lekcje. Byłe co nie robiło na nich wrażenia. Mimo gorączkowego poświęcenia, z jakim przez całe popołudnie przeszukiwały hotel, teraz zachowywały się ze zdumiewającą klasą.

– Uwielbiam ten album, *Małostkowe żądze*. Jest w nim taka głębia – rozwodziła się Georgia.

– No właśnie – przyłączyła się Rose. – Świetne teksty. Kocham tę piosenkę, *Siedem minut*.

– Aż tak ci się podoba? – Hayes podniósł głowę znad koszulki, którą właśnie podpisywał.

– To tak, jakby... jakbyście naprawdę czuli nasze pokolenie. Mówicie naszym głosem. – Isabelle potrząsnęła włosami, siłąc się na flirt, lecz zaciśnięte ze skrępowania usta zdradzały jej wiek: za nimi krył się aparat na zęby. Och, moje słodkie dziecko, jeszcze przyjdzie czas...

Twarz miała po mnie. Duże migdałowe oczy, wydęte francuskie wargi i jasnooliwkowa karnacja. A do tego gęste brązowe, niemal czarne włosy.

Patrzyłam, jak Hayes przygląda się dziewczynkom. Jego rozbawione oczy przenosiły się z jednej na drugą. Zapewne już do tego wszystkiego przywykł. Wreszcie zatrzymał się na mnie.

– Gdzie siedzicie, drogie panie?

Dziewczynki pośpiesznie podały numery naszych miejsc.

– Po koncercie wpadnijcie za kulisy. Przyślę kogoś, żeby was przyprowadził. Nie znikajcie. – To mówiąc, spojrzał na mnie. Przeszywające niebieskozielone oczy i burza ciemnych loków. Mógł mieć co najwyżej dziewiętnaście lat. – Okej?

Skinęłam głową.

– Okej.

Było coś niesamowitego w tym, że w jednej chwili rozmawiałam twarzą w twarz z członkiem najsłynniejszego boysbandu ostatniej dekady, a w następnej wypchnięto mnie na stadion wypełniony dwunastoma tysiącami jego rozwrzeszczanych fanek. Nastąpiło nagłe zakłócenie równowagi, coś mi się nie spinało. Na moment straciłam poczucie tego, gdzie jestem, jak się tam znalazłam i na czym polega moja rola. Dziewczynki kipiały z podniecenia i śpieszyły się, żeby znaleźć nasze miejsca, a ja dostałam zawrotów głowy. Nie byłam na to gotowa: na ten hałas, ten pisk, energię wydzielaną przez masy maksymalnie pobudzonych nastolatków. Fakt, że to wszystko – wszyscyutko – było zasługą chłopców, których widziałyśmy przed chwilą w podziemnej sali, wydawał mi się niepojęty. Owszem, byli czarujący, jednak przecież byli tylko ludźmi.

Wrzaski rozpoczęły się, jeszcze zanim zespół wyszedł na scenę, i trwały bez przerwy przez kolejne dwie i pół godziny. Lulit miała rację. Niepodobna było przywyknąć do takiego poziomu decybeli. A już na pewno, jeśli było się kobietą pod czterdziestkę.

W roku, kiedy skończyłam szesnaście lat, widziałam New Kids on the Block na stadionie Foxboro. To było podczas ich trasy koncertowej Magic Summer. Wybrałyśmy się z kilkoma koleżankami z okazji urodzin Alison Aserkoff. Jej ojcu udało się załatwić miejsca pod sceną i przepustki za kulisy. Koncert był głośny i chaotyczny, a ja zazwyczaj nie przepadałam za takimi rzeczami. W takich prywatnych szkołach jak nasza nie słuchało się boysbandów. Wychowywaliśmy się na Rolling Stonesach, U2, Bobie Marleyu. Na muzyce, która nigdy się nie starzała. Toteż w zasadzie pięciu chłopaków z klasy robotniczej z Dorchester w stanie Massachusetts nie powinno było stanowić dla nas żadnej atrakcji.

A jednak coś wtedy poczułam. Te emocje, te hormony, żar emanujący ze sceny. Sama świadomość, że tak wiele dziewczyn

marzyło o tych chłopakach i ich pożądało, sprawiała, że natychmiast zyskali na atrakcyjności. I przez krótką chwilę wydawało mi się, że mogłabym temu ulec, zatracić się w tym szaleństwie. Lecz potem dotarło do mnie, że to wyglądałoby nieelegancko, nie pasowałoby do mnie. I przypomniałam sobie, jaka miałam być do szpiku kości. A wtedy ucięłam wszelkie uniesienie, na jakie może sobie pozwoliłam, nim zdążyło zapuścić we mnie korzenie. Na długo przed bisem.

Blisko ćwierć wieku później znalazłam się w tej samej sytuacji.

Pomimo wrzawy i hormonów buzujących w całym Mandalay Bay, August Moon zrobił świetny show – choć nie byłam pewna, czy mogą rościć sobie prawo do nazwy „zespół muzyczny”, skoro nie grają na żadnych instrumentach. Co prawda Rory pobrzdakał na gitarze do kilku piosenek, a Oliver raz czy dwa usiadł za pianinem, ale nie licząc tego, cała instrumentacja była dziełem towarzyszących im muzyków. A chłopaki tylko śpiewały i skakały po scenie niczym młode, tryskające zdrowiem drążki pogo. Było też sporo popisów i wygłupów, za to bardzo niewiele choreografii – ale fankom chyba to nie przeszkadzało.

– Kocham ich! Kocham! Kocham! – zawołała Georgia po energicznym wykonaniu *Uśmiechu z bąbelkami*, tytułowego utworu z pierwszego albumu zespołu. Po jej twarzy laleczki spływały łzy, a jej loki pod wpływem wilgoci zaczęły się kręcić jak po trwałej. – Oni dotykają mojej d u s z y.

Rose wyraźnie podzielała jej uczucia, bo piszczała za każdym razem, gdy Liam wchodził na wybieg przedłużający scenę – znajdował się wtedy zaledwie kilka kroków od nas. Isabelle pogrążyła się we własnym świetle, śpiewała i kołysała się mocno do rytmu muzyki. Były takie szczęśliwe. W tamtym momencie wybaczyłam Danielowi, że wykręcił się od zobowiązania, bo dzięki temu miałam okazję zobaczyć dziewczynki w stanie najwyższego zachwyty. A to było bezcenne doświadczenie.

Dokładnie w momencie, gdy zespół zszedł ze sceny po ostatnim bisie, w naszej sekcji pojawił się mocno zbudowany

czarnoskóry mężczyzna z przepustką na szyi. Jak w zegarku. Hayes dotrzymał obietnicy.

– Czy jest tutaj jakaś Isabelle?

W uszach tak mi szumiało, że prawie nie rozumiałam, co mówi – czułam się jak pod wodą. Mimo to ruszyłyśmy za nim do bramki, gdzie wręczył nam wszystkim po bransoletkę i smyczy z przepustką.

W trakcie długiej drogi za kulisy nie padło ani jedno słowo. Przypuszczałam, że dziewczynki nie chciały zepsuć sobie tej chwili, żeby nie przebudzić się ze snu. Na ich twarzach malowały się poważne, pełne oczekiwania miny. Z podniecenia ledwo mogły na siebie nawzajem patrzeć. Dziś wieczorem rozpoczyna się nasze życie.

Odniosłam wrażenie, że ochroniarz już do tego przywykł – nie pierwszy raz przyprowadzał zespołowi młode dziewczyny z widowni. Na chwilę ogarnął mnie strach przed tym, w co się pakujemy. Dokąd właściwie nas zabierano? I kiedy sytuacja przybierze taki obrót, że zagrozi mi odpowiedzialność karna za postawienie dzieci w sytuacji zagrożenia? Wydanie trzech dwunastolatek na pastwę starszych mężczyzn na pewno kwalifikowałoby się co najmniej jako wykroczenie, jeśli nie poważne przestępstwo. Nie, nie spuszczać ich z oczu. Przecież to Vegas.

Lecz gdy dotarliśmy na imprezę, stało się jasne, że niepotrzebnie się obawiałam. Nie było tam wielu osób, które wyglądały, jakby zaproszono je wyłącznie w celach rozrywkowych: tylko dwie nieznane mi modelki, jedna Dunka, która widniała ostatnio na okładce magazynu „Sports Illustrated” (tego wydania z kostiumami kąpielowymi), jakaś gwiazdka reality TV i aktorka z nowego serialu Netflixa. Nie licząc ich, wszyscy goście należeli chyba do rodziny i przyjaciół zespołu. Ogólnie: masa Brytyjczyków, kilka osób z branży i garstka dobrze wychowanych młodych wielbicieli, którym się poszczęściło. Nie wyczuwałam żadnego zagrożenia.

Wreszcie pojawiły się gwiazdy wieczoru: po prysznicach, z wilgotnymi i nieułożonymi włosami. Rozległy się brawa,

gwizdy i strzelanie korków szampana. Mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, czy tak to wygląda co wieczór: czy po każdym koncercie gratulują sobie w ten sposób udanego występu.

Isabelle i jej przyjaciółki nie traciły czasu: natychmiast przylgnęły do Simona i Liama, którzy rozkręcali imprezę. Odzyskały już panowanie nad sobą i teraz wyglądały, jakby miały do wykonania jakąś misję. Jaką – tego nie byłam do końca pewna. Ale przypuszczałam, że chodziło o coś w stylu: „rozkochać w sobie tego czy tamtego członka August Moon”, choć z pewnością zdawały sobie sprawę, że było to wysoce nieprawdopodobne. Rory zdążył już namierzyć modelkę od kostiumów kąpielowych i podrywał ją w kącie pokoju. Z czapką nasuniętą nisko na czoło i rękami wepchniętymi w kieszenie tak mocno, że jego dżinsy – które i tak wisiały absurdalnie nisko – zjechały jeszcze niżej, całą swoją postawą dawał do zrozumienia, że modelka należy do niego.

Oliver pogrążył się w rozmowie z jakimś typem, którego uznałam za producenta muzycznego – facet miał na sobie szary połyskliwy garnitur i niewykluczone, że próbował poderwać chłopaka. Oliver prezentował się najbardziej elegancko z całej grupy. Był smukły jak brzoza, o orzechowych oczach, złocistych włosach i zamyślonym wyrazie twarzy. Typ chłopaka, w którym mogłabym się zakochać w czasach studenckich, a ponieważś odkryłabym, że jest gejem. Albo że jest zbyt głęboki, by zainteresować się zwykłą studentką historii sztuki. Tak czy inaczej, zламаłby mi serce.

No i wreszcie Hayes. Podobnie jak Simon i Liam znajdował się w centrum uwagi, jednak wydawał się bardziej zaangażowany niż oni. Ze swojego punktu obserwacyjnego po przeciwnej stronie pokoju, gdzie wyrywał mnie jakiś typ piszący dla „Vanity Fair”, widziałam śmieszne wygłupy Simona i młodzieńcze harce Liama, których otaczały urzeczone wielbicielki. Hayesa jednak trudniej było rozgryźć. Gdy kierował na kogoś uwagę, sprawiał wrażenie, jakby robił to autentycznie. Nawet z dystansu jego rozmowy z wianuszkami pochlebców wydawały się szczerze.

Dopiero po upływie jakichś trzydziestu minut, kiedy prawie dopiłam swój kieliszek Perrier-Jouëta i wreszcie zdołałam uwolnić się od tamtego pisarza, Hayes podszedł do kąta, w którym stałam.

– Witam, mamó Isabelle...

– Nazywam się Solène.

– Solène... – Zamyślił się nad moim imieniem. – W sensie... „solennie obiecuję, że jak pożyczysz mi kasę, to oddam”?

Roześmiałam się.

– Dokładnie tak.

– Solène – powtórzył. – Ładnie. To po francusku? Jesteś Francuzką?

– Moi rodzice są Francuzami. Takimi stuprocentowymi.

– Solène. – Pokiwał głową. – A ja jestem Hayes.

– Wiem, kim jesteś.

– No tak. Wiadomo. – Uśmiechnął się połowicznie, tak że lewy kącik jego ust podniósł się do góry, a na policzku ukazał się śliczny dołek. Jego wargi były nieproporcjonalnie szerokie w stosunku do twarzy, uśmiechały się bez nieśmiałości. Ale dołączki sprawiały, że mina, która inaczej mogłaby się wydawać arogancka, zamiast tego wyglądała rozczulająco. – Dobrze się bawisz?

– Owszem, dziękuję.

– To fajnie. – I stał tak, szczerząc zęby, z rękami skrzyżowanymi na szerokim torsie. W tej postawie, którą przybierają czasami wysocy mężczyźni: na szeroko rozstawionych nogach, żeby obniżyć się nieco do mojego poziomu. – A jak ci się podobał koncert?

– Było... ciekawie.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Czyli ci się nie podobał.

– Było zdumiewająco głośno – wyjaśniłam ze śmiechem.

– Więc nikt cię przed tym nie ostrzegł? Jak mi przykro, Solène.

Coś w sposobie, w jaki ciągle powtarzał moje imię... Ten jego chropowaty głos, bezpośrednie spojrzenie, zgłoski przetaczające się po języku. Wydawało mi się to... intymne.

- Owszem, ale jak widać niedostatecznie. Wasze fanki są dość...
- Pobudliwe.
- Można to tak nazwać.

Hayes roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. Miał pięknie zarysowaną szczękę.

– To zgraja dzikusek. Następnym razem załatwimy ci słuchawki.

– Następnym razem?

– Zawsze jest następny raz. – Powiedział to z poważną miną, ale w jego tonie kryło się coś, co sprawiło, że zastygłam.

– Hayes, ile ty masz lat?

– Dwadzieścia.

– Dwadzieścia – powtórzyłam, po czym dopiłam resztki szampana. Jednym łykiem. No, przynajmniej to lepiej niż dzieciętność.

– Dwadzieścia. – Przygryzł dolną wargę i się uśmiechnął.

To byłby dobry moment, żeby przeprosić i odejść. Zebrać dziewczynki i zakończyć ten wieczór. Ale nawet z mojego kąta widziałam, jakie były zachwycone. Simon znowu głaskał Georgię po włosach, Liam popisywał się breakdance’em – wręcz czułam ich euforię. Nie minęła nawet godzina, od kiedy tam przyszliśmy. Okrucieństwem byłoby zabierać je tak wcześnie.

– Zastanawiasz się, czy sobie nie pójść, prawda? – Głos Hayesa przywołał mnie do rzeczywistości. – Nie idź, proszę. Przyniosę ci świeżego drinka.

– Nie, nie trzeba, dziękuję.

– Bzdura. Jesteśmy w Vegas. – Puścił do mnie oko, wyjął mi z ręki pusty kieliszek do szampana i ruszył w stronę przygotowanego w pomieszczeniu baru.

Od czasu Daniela w moim życiu nie było wielu mężczyzn: miałam tylko kilka randek z tatą koleżanki Isabelle z zajęć szermierki i dwumiesięczny flirt z telewizyjnym scenarzystą poznanym na siłowni. Żadna z tych relacji nie została skonsumowana. Gdy tylko pojawiało się ryzyko, że sytuacja wyjdzie poza luźny

flirt, natychmiast się wyłączałam. Zamykałam. I choć trzy lata nieplanowanego celibatu często bywały dość ponure, nie zamierzałam wskakiwać do łóżka z dwa razy młodszym gwiazdorem tylko dlatego, że puścił do mnie oko na imprezie. Nie zamierzałam popadać w stereotypy.

Jednak zanim zdążyłam zaplanować odwrót, Hayes wrócił z kieliszkiem szampana dla mnie i butelką wody dla siebie. Włosy już mu wyschły i zmieniły się we wspaniałą czuprynę jedwabistych loków, których pozazdrościłaby mu niejedna dziewczyna. Dopiero potem się dowiedziałam, że istniały całe blogi poświęcone jego włosom, ale w tamtym momencie, w podziemiach Mandalay Bay, musiałam się powstrzymać, żeby ich nie dotknąć.

– No więc, Solène, czym się zajmujesz, kiedy akurat nie chodzisz na koncerty August Moon?

– Zabawny jesteś, Hayesie Campbellu.

– Ha. Więc wiesz, jak mam na nazwisko...

– Wiem, bo mam w domu dwunastoletnią córkę.

– Ale nie byłego męża?

– Nie, nie byłego męża. – Roześmiałam się. – Wiesz, mogłabym być twoją matką.

– Ale nie jesteś.

– Ale mogłabym być.

– A l e n i e j e s t e ś. – Spojrzał mi prosto w oczy i uśmiechnął się tym swoim półuśmiechem.

I wtedy to poczułam: nagłe drgnięcie w żołądku, które powiedziało mi, że cokolwiek robił ten dwudziestolatek, ewidentnie było skuteczne.

– Podasz mi wreszcie ten kieliszek? A może przyniosłeś go tylko po to, żeby się ze mną podrażnić?

– To drugie – powiedział ze śmiechem i upił odrobinę mojego szampana, po czym oddał mi kieliszek. – Na zdrowie.

Stałam i gapiłam się na Hayesa, nie pijąc. Podobała mi się ta sytuacja.

– Niegrzeczny z ciebie chłopiec...
– Czasami...
– I jak na tym wychodzisz?
Znowu wybuchnął śmiechem.
– Zazwyczaj nieźle. A teraz? Działa?
Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową.
– Nie aż tak, jak ci się wydaje.
– Auć, to mnie zraniłaś. – Strzelił oczami po pokoju, rozglądając się za czymś. – Oliver!

Oliver spojrzał w naszym kierunku. Nadal rozmawiał z tym facetem w błyszczącym garniturze i chyba bardzo chciał się od niego uwolnić. Patrzyłam, jak przeprasza rozmówcę i podchodzi do nas.

– Ol, to jest Solène.

– Cześć, Solène. – Uśmiechnął się czarująco.

Stali razem i spoglądali na mnie, obaj równie wysocy i równie pewni siebie. Przez chwilę żałowałam, że włożyłam buty na płaskim obcasie, bo nawet przy wzroście metr siedemdziesiąt w porównaniu z tymi chłopcami czułam się niska.

– Ol, powiedz: czy twoim zdaniem Solène mogłaby być moją matką?

Oliver uniósł brew i przez długą chwilę lustrował mnie od stóp do głów.

– Absolutnie wykluczone. – Spojrzał na Hayesa. – No wiesz, twoja matka to bardzo piękna kobieta...

– Absolutnie zachwycająca.

– Ale tak to ona nie wygląda.

– Nie, tak to ona nie wygląda – zgodził się Hayes z uśmiechem.

Oliver skierował na mnie spojrzenie urzekających oczu.

– A co ty w ogóle robisz w tej jaskini nierządu, którą jest Vegas? Upiłam łyk szampana. Okej, przystępujemy do gry.

– Zaciągnięto mnie siłą na koncert August Moon. A wy?

Obydwaj przez chwilę milczeli. Hayes pierwszy się roześmiał.

– I w dodatku jest dowcipna. Ol, możesz już sobie iść.

– Stary, przecież dopiero co mnie tutaj zaprosiłeś.

– No to teraz cię odpraszam.

– Hayes Campbell. Nie umie się bawić z innymi dziećmi – stwierdził Oliver ze śmiertelnie poważną miną.

– Przecież dopiero co uratowałem cię przed tym palantem w paskudnym garniaku. Wisisz mi przysługę.

Oliver pokręcił głową, po czym wyciągnął do mnie dłoń o pięknym kształcie.

– Solène, miło było cię poznać, jakkolwiek krótka to była znajomość.

Jakkolwiek krótka to była znajomość? Kim są te chłopaki? Ten kwintet zawadiaków? Isabelle i nieprzeliczone miliony nastolatek na całym świecie ewidentnie wpadły na niezły trop.

– „Nie umiesz się bawić z innymi dziećmi”? – zapytałam po odejściu Olivera.

– Ależ umiem. Za to nie umiem się dzielić.

Uśmiechnęłam się. Złapałam haczyk. Jego twarz – jak dzieło sztuki. Jego usta – nie pozwalały mi się skupić. Przez głowę przechodziły mi myśli, które nie były całkowicie niewinne.

– No więc – zagadnął Hayes – opowiedz mi o sobie.

– Co chciałbyś wiedzieć?

– A czym jesteś skłonna się ze mną podzielić?

Roześmiałam się. Hayes Campbell: dwadzieścia lat, a ja zaczęłam się przez niego pocić.

– Minimalną ilością informacji.

Znowu ten półuśmiech.

– Słucham więc...

– Rzeczywiście. – Napiłam się szampana. – Od czego by tu zacząć... Mieszkam w Los Angeles.

– Stamtąd pochodzisz?

– Nie. Jestem ze wschodniego wybrzeża. Z Bostonu. Ale mieszkam w Los Angeles już od wielu lat, więc... chyba tam jest teraz mój dom. Prowadzę galerię sztuki razem z moją bliską przyjaciółką Lulit.

- Jak bliską? – Hayes uniósł pytająco brew.
- Nie tak bliską.
- Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.
- Ja tam nikogo nie osądzam...
- Po prostu sobie fantazjowałeś?
- Wybuchnął głośnym śmiechem.
- Czy my naprawdę dopiero co się poznaliśmy?
- To chcesz wiedzieć więcej czy nie?
- Chcę wiedzieć wszystko.
- Prowadzimy razem galerię sztuki. W Culver City. Sprzedajemy sztukę współczesną.
- Zastanowił się przez chwilę, po czym zapytał:
- Czy to się czymś różni od sztuki nowoczesnej?
- „Sztuka nowoczesna” to ogólny termin, który obejmuje okres ponad stu lat i różne prądy. A sztuka współczesna to taka, która powstaje aktualnie.
- Czyli twoi artyści jeszcze żyją?
- Uśmiechnęłam się.
- Przeważnie, tak. No więc... – Wiedziałam, że będę potrzebować więcej szampana. – Czym ty się zajmujesz, kiedy akurat nie chodzisz na koncerty August Moon?
- Roześmiał się i skrzyżował ramiona na piersi.
- Nawet nie wiem, czy jestem w stanie sobie przypomnieć. Przez ostatnich kilka lat byłem właściwie całkowicie pochłonięty zespołem. Trasy, pisanie piosenek, nagrania, promocja...
- Sami piszecie swoją muzykę?
- Przeważnie tak.
- Imponujące. Grasz na fortepianie?
- Przytaknął.
- I na gitarze. I na basie. I trochę na saksofonie.
- Uśmiechnęłam się. Najwyraźniej nie doceniałam członków boysbandów.
- A zdarza się czasem, że po prostu siedzisz w domu i nic nie robisz?

– Niezbyt często. A tobie?

– Rzadziej, niż bym chciała.

Hayes wolno pokiwał głową, napił się wody, po czym zapytał:

– Jak wygląda twój dom?

– Nowoczesny. Czyste linie. Umeblowanie w stylu mid-century. Stoi na wzgórzu, od strony wybrzeża, z widokiem na ocean. Ma przeszklone ściany i światło cały czas się w nim zmienia. Więc i pokoje co chwilę wyglądają inaczej. Zwłaszcza o świetle i o zmierzchu. To tak, jakbym mieszkała w akwarelowym obrazie. Uwielbiam to. – Przerwałam. Hayes stał przede mną i wpatrywał się we mnie w sposób, w jaki zapewne nie powinien. Był wręcz śmiesznie młody. A ja byłam czyjąś matką. I to wszystko po prostu nie miało prawa się dobrze skończyć.

– Wow – powiedział cicho. – Brzmi to tak, jakbyś miała idealne życie.

– No. Nie licząc...

– Nie licząc eksmęża – dokończył za mnie.

– No właśnie. I wszystkiego, z czym to się wiąże.

Jakby na dany znak podbiegła do nas Isabelle, cała w skowronkach i szalejąca ze szczęścia.

– Mamo, to jest najlepsza impreza w moim życiu! Wszystkie się zgadzamy, że tu jest nawet lepiej niż na bar micwie Harry'ego Wassermana.

– Niemożliwe, lepiej niż na bar micwie Harry'ego? – Hayes otrząsnął się z zamyślenia i przeskoczył z powrotem do trybu idola nastolatek.

Isabelle oblała się czerwienią i zakryła usta ręką.

– Czeeeść, Hayes.

– Czeeeść, Isabelle.

– Pamiętasz, jak się nazywam?

– Po prostu zgadywałem. – Hayes wzruszył ramionami. – Co Liam tam wyprawia? Popisuje się wormem? Ale wiesz, że to ja go wszystkiego nauczyłem, nie? To jak, może urządzimy sobie konkurs? Liam! – krzyknął przez pokój. – Chodź! Zobaczymy, kto

robi lepszego worma! – Zarzucił rękę na ramię mojej córki i zaczął ją prowadzić, a ja czułam, że Isabelle chyba zaraz wyskoczy ze skóry ze szczęścia. – Wybacz, Solène. Trzeba stoczyć pojedynek.

Ten widok – moja onieśmielona córka i przystojny gwiazdor idący z nią przez pokój – miał w sobie coś tak nierealnego, że musiałam się roześmiać. Hayes był w swoim żywiole. W sekundę skupił na sobie całą uwagę. Położył się na brzuchu na podłodze i przygotował do starcia, podczas gdy koledzy z zespołu i wielbicielki zbierali się dookoła. Być może żyłasta budowa i gwałtowne ruchy Liama lepiej nadawały się do tego typu tańca, lecz Hayes był zdecydowanie bardziej porywający. Miał w sobie pewną grację. Ślizgał się po podłodze w czarnych džinsach i ciężkich butach, a jego stopy wykopywały tak wysoko w powietrze, że biodra odrywały się od ziemi. Mięśnie ramion napinały się z każdym odepchnięciem. Spod cienkiej koszulki wyrżał skrawek brzucha. Był tak doskonale męski, że przyglądając mu się, czułam się niemal nieprzyzwoicie.

Rozległy się okrzyki i pogwizdywanie. Kiedy Hayes wreszcie się podniósł, Simon chwycił go i przytulił po męsku.

– Co za facet! – zawołał, szeroko otwierając błękitne oczy. Jasne włosy miał nastroszone. – Czy jest cokolwiek, czego on nie umie?!

Hayes odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał. Włosy mu się potargały, a policzki zarumieniły.

– Nie ma takiej rzeczy. – Uśmiechnął się promiennie. W tym samym momencie spojrzał mi prosto w oczy i poczułam między nami taką iskrę, że musiałam odwrócić głowę.

★

Wyszliśmy niedługo po „pojedyнку”. Gdy drobna, niekoniecznie pełnoletnia brunetka zainstalowała się na kolanach Liama, Rory w kącie pokoju przykleił się ustami do szyi modelki od kostiumów, a co najmniej sześć osób wymknęło się z pokoju i wróciło ze szklanymi oczami, stwierdziłam, że to chyba dobry

moment, żeby zabrać stamtąd dziewczynki. Pisarz z „Vanity Fair” już dawno zniknął.

– Świetnie się bawiłyśmy. Dziękujemy za zaproszenie.

Staliśmy przy drzwiach. Rose przysypiała na stojąco, Isabelle ziewała, a czupryna Georgii przybrała imponujące rozmiary.

– Na pewno nie zdołam was namówić, żebyście jeszcze zostali? – zapytał Hayes.

– Jest późno, a rano musimy zdążyć na lot.

– Mogłybyście go przebukować.

Poczułam, jak mrużę oczy – to chyba jakiś odruch, który odziedziczyłam po matce.

– Dobra, okej, może to nienajlepszy pomysł – wycofał się.

– Raczej nie.

– To był najlepszy wieczór w naszym życiu – zaczęły mówić dziewczynki jedna przez drugą.

– Fantastyczny.

– Mega!

– Cieszę się, że dobrze się bawiliście – odpowiedział im z uśmiechem. – Jeszcze to kiedyś powtórzymy, prawda?

Moja świta wydała z siebie jednogłośnie potwierdzenie.

– No to, eee... – Hayes odwlekał pożegnanie. Nie bardzo wiedział, gdzie podziąć oczy, przeczesywał palcami swoją burzę włosów. – Mówiłaś, że jak się nazywa ta twoja galeria? No wiesz, gdybym zajrzał kiedyś do Kalifornii i nagle ogarnęła mnie ochota na sztukę współczesną...

– Marchand Raphel – odparłam z uśmiechem.

– Marchand Raphel – powtórzył. – A ty to...

– Ona jest Marchand – wtrąciła Georgia.

– Solène Marchand. – Hayes uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zęby miał zdecydowanie nieangielskie. Duże, proste, białe. Ktoś wydał na nie sporo pieniędzy. – W takim razie do następnego spotkania?

Przytaknęłam. Ziarno zostało zasiane. Gdybym nie miała pod opieką dziewczynek...

I nagle – doskonale zdając sobie sprawę z tego, co sugeruję, i bez śladu wahania, co samą mnie zaskoczyło – zarzuciłam przynętę:

– Zawsze jest następny raz.

NA SAMĄ MYŚL O TEJ HISTORII ZROBI CI SIĘ GORĄCO...

Solène Marchand jest trzydziestodwuletnią właścicielką galerii sztuki, rozwódką i matką nastoletniej Isabelle. Gdy Isabelle spełnia swoje największe marzenie – idzie na koncert ukochanego zespołu i spotyka się z muzykami – Solène nie spodziewa się, że ta noc odmieni również jej życie. Za kulisami poznaje sławnego Hayesa Campbella, który oszałamia urodą, pewnością siebie i talentem. Jest wszystkim, o czym Solène marzy w najszybszych fantazjach i... jest od niej dziewiętnaście lat młodszy. Kobieta próbuje mu się oprzeć, ale zwycięża elektryzujące przyciąganie. To szaleństwo, a Hayes sprawia, że warto dać mu się ponieść.

W Nowym Jorku, Buenos Aires, Paryżu, na Łazurowym Wybrzeżu... w świecie blichtru rozwija się ich płomienny romans, a Solène na nowo odkrywa swoją seksualność i zmysłowość. Gdy romans zostaje ujawniony i staje się medialną sensacją, Solène musi zdecydować, czy związek, w którym odnalazła siebie, jest wart tego, by zupełnie się w nim zatracić – choć serce podpowiada jej, że już bezpowrotnie zatraciła się w Hayesie... I ty również to zrobisz.

Wsluchaj się w głos swoich pragnień i daj się ponieść historii, o której kobiety na całym świecie nie mogą przestać rozmawiać! Podziel się nią z przyjaciółką i podaruj jej wieczór z Hayesem Campbellem – bo każda kobieta zasługuje na to, by spełniać swoje najszybsze fantazje.

Romans pełen gorącej jak diabli erotyki, ukazujący przyjemność z kobiecej perspektywy tak, jak nie zrobiła tego jeszcze żadna książka. Cudowna, podniecająca powieść, którą przeczytasz z szaleńczo bijącym sercem.

NATALIA KAROLAK, @nataliasreadingroom

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-8135-121-8



9 788381 351218

Cena detal. 44,99 zł



WYDAWNICTWO
OTWARTE